

Heretycy na ziemi - ortodoksi w niebie - Sławomir Zatwardnicki

Dogmat jest jak spadek po przodkach – dzięki doktrynalnemu dziedzictwu nie trzeba zaczynać od zera. Mit od „pucybuta do milionera” jest być może dobry w Ameryce, ale i tam prawdopodobnie jedynie jako mit właśnie, który trudno potraktować z powagą rozumu taką, na jaką zasługuje wiara prawdziwa, a zatem możliwa do zdefiniowania w formułach dogmatycznych chroniących zawartą w tej wierze prawdę przed błędnymi naukami. Bez dogmatu człowiek wystawia się na łup miliona opinii swoich i cudzych; w końcu jedyną ucieczką okazuje się zdogmatyzowanie jednej z nich.



Dogmat jest jak spadek po przodkach –

dzięki doktrynalnemu dziedzictwu nie trzeba zaczynać od zera. Mit od „pucybuta do milionera” jest być może dobry w Ameryce, ale i tam prawdopodobnie jedynie jako mit właśnie, który trudno potraktować z powagą rozumu taką, na jaką zasługuje wiara prawdziwa, a zatem możliwa do zdefiniowania w formułach dogmatycznych chroniących zawartą w tej wierze prawdę przed błędnymi naukami. Bez dogmatu człowiek wystawia się na łup miliona opinii swoich i cudzych; w końcu jedyną ucieczką okazuje się zdogmatyzowanie jednej z nich.

Sławomir Zatwardnicki

Heretycy na ziemi - ortodoksi w niebie. Felietony teologiczne

Wydawnictwo Księży Sercanów

rok wydania: 2016

Dogmat jest jak spadek po przodkach – dzięki doktrynalnemu dziedzictwu nie trzeba zaczynać od zera. Mit od „pucybuta do milionera” jest być może dobry w Ameryce, ale i tam prawdopodobnie jedynie jako mit właśnie, który trudno potraktować z powagą rozumu taką, na jaką zasługuje wiara prawdziwa, a zatem możliwa do zdefiniowania w formułach dogmatycznych chroniących zawartą w tej wierze prawdę przed błędnymi naukami. Bez dogmatu człowiek wystawia się na łup miliona opinii swoich i cudzych; w końcu jedyną ucieczką okazuje się zdogmatyzowanie jednej z nich. Ale może to nie tyle ucieczka, co exodus, przejście do wolności, bo prawda przecież wyzwala, zgodnie ze słowami Prawdy wcielonej.

Walczący z dogmatami są jak walczący z wiatrakami, ponieważ walczą nie tyle z dogmatami, ile z wyobrażeniem (dogmatycznym, chciałoby się rzec) o dogmatach. Oskarża się dogmatyczne chrześcijaństwo o to, że proste jakoby tajemnice wiary komplikuje niepotrzebnym uracjonalnieniem. Wiara rybaków w ten sposób miała stać się wiarą filozofów. A przecież, gdy się przyjrzeć dogmatom, zwłaszcza mojemu ulubionemu Chalcedonowi, okaże się, że dogmat nie tyle wyjaśnia tajemnicę, ile właśnie broni jej przed rozumem. „Nowe dogmaty nie były pojmowane jako nowe, ale widziano w nich zabezpieczenie

i utrwalenie starej prawdy” (Paweł Lisicki). Pośrednio dogmat broni rozumu przed nim samym – właśnie dlatego, że rozumem chroni światło objawionej prawdy przed spekulacjami rozumu nieoświeconego wiarą. I broni wiary, która jeśli ma zbawiać – nie może być rozdzielona od prawdy; „boć nie tylko w praktykowaniu cnót, nie tylko w zachowywaniu przykazań, ale i w (rozdzielaniu) szlaków wiary «ciasna i wąska jest ta droga, która wiedzie do żywota»” – pisał św. Leon Wielki w nawiązaniu do Mt 7,14.

Taka jest naturalna kolej rzeczy: wiara otrzymana od ojców w wierze, a przeżywana przez ich duchowych synów dopiero w konfrontacji z tym, co jej przeczy – wyraża się w terminach, które jej strzegą. Dlatego często widzi się w dogmacie słupy graniczne, które wyznaczają granice ortodokslandu – „jeśli ich nie ma, to nie wiadomo, gdzie należy się zatrzymać” (Grzegorz Strzelczyk). Konsekwentnie prawowierny wydaje się zamknięty w przestrzeni określonej treścią dogmatu. Ale dogmat warto przyrównać raczej do przejścia granicznego prowadzącego ku ziemi obiecanej. „Kościół przeciwstawia się herezjom głównie dlatego, że zafałszowują wizję zbawienia przyniesionego w Chrystusie” (tenże). Sformułowanie dogmatyczne nie zniewala wierzącego, ale właśnie wyzwala. Jest jak paszport otrzymany przez obywatela PRL, dzięki któremu ten będzie mógł zachłysnąć się wolnością, pozostawiając absurd poza sobą. Jeśli ktoś pozostaje uwięziony sformułowaniem dogmatycznym – to właśnie heretyk, a nie ortodoks.

W heretykach wolno widzieć dyskutantów, którzy pomagają dojść do sformułowania prawdy, nawet jeśli sami jej przeczą. Herezja jest jak pytanie o to, co do tej pory wydawało się twierdzeniem oczywistym, choć niestwierdzonym, a jedynie (aż) przeżywanym; dogmat jest jak

wykrzyk. Niechże krytycy dogmatów spróbują potraktować zdania wykrzykowe, choćby w mowie potocznej, jako niepotrzebny dodatek; owszem, okaże się to niewykonalne, tym bardziej gdy wokół znajdują się albo dzieci, albo adwersarze podważający „oczywiste oczywistości” – egzystencjalne dogmaty. W sprawach niebieskich również wolno/trzeba krzyknąć, zwłaszcza wtedy, gdy ktoś stosuje do nich miarę ziemską, którą przykrawa tajemnice. Z kolei dogmat będzie z konieczności dziełem bosko-ludzkim: nadprzyrodzona nauka objawiona przez niebo musi „wcielić” się w to, co ziemskie.

W życiu na co dzień jesteśmy bardzo dogmatyczni, nie tylko względem samych siebie, i nawet nie tylko wobec wyznawców wspólnych dogmatów, owszem, narzucamy swoją ujętą w formuły dogmatyczne wiarę również tym, którzy ich nie podzielają. Dla przykładu: „Liberalne zasady wolności i tolerancji – cytuję lewicowego agnostyka – są dogmatami i niczego im to nie ujmuje. Taki jest paradoks liberalizmu, że musi być coś ciasnego w otwartości umysłu i coś sztywnego w tolerancji” (Terry Eagleton). Wykrzyk? Na pewno nie znak zapytania! Zapytajmy albo od razu wykrzyknijmy: ponieważ w sprawach wiary należy spodziewać się podobnego paradoksu, w takim razie sztywny dogmat jest może gwarancją elastyczności ducha! Dogmat to nie gorset dla duchowego kręgosłupa, ale kręgosłup dla ducha.

[Chyba, że ktoś uważa, że taka ekstrapolacja z tego, co przyrodzone do sfery nadprzyrodzonej nie jest uprawniona. Tylko że wtedy zakłada się „na wiarę” pogląd o pęknięciu pomiędzy jedną a drugą sferą – pogląd taki należałoby nazwać „po imieniu”: byłby to dogmat! Oczywiście niechrześcijański, bo z wnętrza ortodoksji chrześcijańskiej relacje

między tym a tamtym światem należy postrzegać „po chalcedońsku” właśnie: rozróżniając jedno i drugie, ale nie rozdzielając, musi bowiem między nimi zostać zachowana łączność].

Dogmat wykuwa się tam, gdzie krzyżują się różne interpretacje objawienia. Można by nawet powiedzieć, że życiodajny dogmat czerpie swoją moc z Krzyża, co najłatwiej podpatrzeć na przykładzie dogmatów chrystologicznych. Ukrzyżowanie Zmartwychwstałego na belce poziomej (zaprzeczenie bóstwa) i pionowej (odrzućcie człowieczeństwa) doprowadziło w końcu do dogmatycznego uwielbienia zarówno Jego człowieczeństwa, jak i bóstwa. Bo heretyckich „twierdzeń ucho katolickie ścierpieć nie mogło”, pisał papież Leon Wielki posłuszny Pismu, Tradycji i doświadczeniu wiary. Nie wystarczyły formuły liturgiczne, które do tej pory wystarczały, dołączyć do nich musiały wyznania wiary, a nawet znalazły one swoje miejsce w liturgii (Nicea, Konstantynopol), przynajmniej do czasu, gdy definicje nie stały się na tyle rozbudowane, by nie mogły już pełnić funkcji liturgicznych (Chalcedon).

Śmieszni są ponad miarę – i dlatego nie śmieszą – ci egzegeci – „archeolodzy”, którzy odkrywają Amerykę twierdzeniami, że św. Paweł nie nazywał Chrystusa Bogiem, że dopiero potem Kościół uzupełnił, zgodnie z prawami mitu nie troskającego się o prawdziwość faktyczną/histeryczną, pierwotne przekonania, wcale rzekomo nie tak rewolucyjne. Są oni jak ci, o których Clive Staples Lewis pisał, że „dopatrują się ziaren u paproci, a nie dostrzegają słonia, stojącego w pełnym świetle o dziesięć jardów od nich”. Schyleni ku paprociom nie odczuli nawet, że słoń ten właśnie się po nich przespacerował. Tego „słonia” wypominali chrześcijanom żydowscy monoteiści – równie dobrze jak chrześcijanie zdający sobie sprawę z tego, że cześć dla

Chrystusa oznacza rewolucję w dotychczasowym postrzeganiu Boga. „Pęknięcie bez pęknięcia” monolitu Boga na trzy Osoby – nie mieści się w głowie, ale może głowa się w tym zmieścić. A wtedy spróbuje użyć rozumu do wyrażenia niewyraźnego: Ci Trzej są Jednym.

Historia dogmatu trynitarnego może wyglądać, by użyć określenia młodego Josepha Ratzingera, „jak cmentarzysko herezji, których ślady teologia ciągle jeszcze obnosi z sobą, niby trofea po zwycięsko stoczonych walkach”. Jednak, według bawarskiego teologa, mamy do czynienia nie tyle z grobowcami, ile z „kamieniami budowlanymi katedry, które oczywiście wtedy tylko się przydają, gdy nie zostają same, lecz stają się częściami większej całości”. A całości nie da się ogarnąć, można jedynie dać się jej ogarniać; kto chciałby uchwycić całość, ten zostanie pochwycony przez część jedynie – tak rodzi się właśnie heretyk, który wybiera część kosztem całości. Zgodnie z pierwotnym sensem herezja oznacza „«wybór», zarówno akt wybierania, jak przedmiot wyboru” (Leszek Kołakowski).

Powiedzmy w końcu głośno to, co wolno przeczytać nieśmiałym szeptem: wszyscy jesteśmy heretykami. Bo nie umiemy widzieć całości, a jedynie część; nie potrafimy myśleć „prosto” jak Bóg, jednoczyć części w całość „bez zmieszania i bez rozdzielania”. Dla nas „proste” oznacza „pojedyncze”, oddzielone od czegoś złożonego. W związku z tym w spotkaniu z misterium doświadczamy w naszej wierze pewnego rodzaju „rozdygotania”. Nie zbaczamy z ortodoksyjnego kierunku, ale płynąć musimy zakosami – raz lewym, raz prawym halsiem. Gdy widzimy w Chryście Boga, pozornieje nam Człowiek, dotykamy Człowieka, a przez palce człowieczeństwa przecieka nam bóstwo. To taki chrystologiczny przykład naszej antropologicznej niedoskonałości.

Nieszczęśni my ludzie, któż nas wyzwoli! – możemy zakrzyknąć za św. Pawłem. O boski paradoksie, uczyni to właśnie Bogoczłowiek, do którego przystęp daje nam właśnie... dogmat.

Bo na dogmat wolno popatrzeć jak na przewodnika na drodze wiary. Można by może nawet mówić o doktrynalnym wymiarze duchowości. Dogmat byłby dla chrześcijanina impulsem do kontemplacji. Wybór części kosztem całości – językiem Chalcedonu: rozdzielenie – to swego rodzaju rozproszenie w czasie medytacji, albo, od drugiej strony: rozproszenie to herezja mistyczna. Z kolei wolno mówić o ortodoksji mistycznej w przypadku jednoczenia części w całość, z którym mamy do czynienia w kontemplacji, gdy dokonuje się proste wejrzenie, skupienie na całości, ale nie kosztem części (rozróżnienie). Według św. Jana od Krzyża „niemałą cząstką” naszej szczęśliwości wiecznej będzie rozumienie wcielenia, poznanie tajemnicy Boga-Człowieka. „Tajemnice owe – pisze Doktor Mistyczny – należą do najwznioślejszych, jakie kryją się w Bogu”. Alleluja, czyli bardziej po ludzku: hurra!

W pełni prawowierni – jak Bóg! – będziemy dopiero w niebie, na ziemi pozostajemy mniej lub bardziej ortodoksyjnymi heretykami.